

KRZYCZ!

Media Rodzina

GOLDY MOLDAVSKY

KRZYCZ!

Tłumaczył Krzysztof Puławski

Tytuł oryginału
The Mary Shelley Club

Copyright © 2021 by Goldy Moldavsky

All rights reserved.

Copyright © 2021 for the Polish translation
by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt okładki i zdjęcie
Andrzej Komendziński

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie
całości albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów
w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe jest
tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-946-4

Książkę wydrukowano na papierze Lux cream 80g 1,6
dostarczonym przez Zing Sp. z o.o.

Skład i łamanie
Radosław Stępnia

Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk
Abedik

*Dla mojej siostry Yasmin, z którą uwielbiam
oglądać straszne filmy.*

*Strzeż się, bo nie znam strachu, co czyni
mnie potężnym.*

Mary Shelley, Frankenstein



PROLOG

RACHEL USADOWIŁA SIĘ PRZY BIURKU w pozycji, która kojarzyła jej się z kształtem precla. Siedziała na skrzyżowanych stopach z kolanami wystawionymi w górę i opartymi o krawędź drewnianego blatu. Wpatrywała się w ekran laptopa z informacjami z Wikipedii na temat Nellie Bly, o której miała napisać esej, ale słowa rozmazywały jej się przed oczami. Nie chodziło o to, że Nellie jej nie interesowała, Rachel potrafiła wczuć się w twardą dziennikarkę o ciekawym nazwisku. Tyle że zbyt wiele rzeczy przyciągało jej uwagę.

Na Spotify była informacja o najnowszym singlu Taylor i niezależnie od tego, ile razy Rachel odkładała telefon, żeby zacząć czytać biogram, ten znowu się odzywał i na ekranie pojawiała się nowa wiadomość od Amy. Jak choćby teraz:

ciekawe, co on teraz robi. powinniśmy do niego pójść i WYSZPIEGOWAĆ.

Nie będę go śledzić — odpisała Rachel i odłożyła telefon. Tym razem już na dobre.

Jednak nawet kiedy czytała naprawdę interesujący życiorys Nellie, jej myśli wciąż gdzieś wędrowały.

Nie miała zamiaru szpiegować, ale... co też on mógł teraz robić? Czy wyszedł gdzieś z kumplami, czy grał w gry wideo, a może odrabiał pracę domową, tak jak powinien? Niezależnie od tego, co robił, Rachel była przekonana, że nie myślał o niej. Ledwie dostrzegał jej istnienie... Z wyjątkiem dzisiejszego ranka, kiedy odbyli zupełnie normalną rozmowę. Trwała ona nie dłużej niż trzy minuty, ale była całkowicie rzeczywista. Pojawiły się też uśmiechy. Zauważalne i obustronne.

Rachel rozpromieniła się teraz na to wspomnienie. I chociaż była sama, ukryła rozanieloną i zaczerwienioną twarz w dłoniach.

Telefon wydał kolejne wściekłe sygnały na znak nowo otrzymanych wiadomości, więc Rachel wzięła go do ręki, zapominając doszczętnie o Nellie Bly.

lubisz go!!! — napisała Amy.

kochasz go!!!

chcesz mieć z nim DZIIICII!!!!111!

Rachel jęknęła i rzuciła komórkę na łóżko, a potem jeszcze wsunęła ją głęboko pod poduszkę. Nie chciała mieć z nim „dziicii” i zaczęła żałować, że powiedziała Amy o swoim zadurzeniu. Trzeba wracać do Nellie. Wyprostowała się i poprawiła ekran laptopa, jakby to miało jej pomóc.

Gdy jeszcze usilniej starała się ignorować telefon, jej uwagę przyciągnął ktoś na zewnątrz. Biurko stało pod oknem, przez które widziała trawnik przed domem. Widok przechodniów nie był niczym niezwykłym, ale teraz było już po

dziewiątej. Tu, na przedmieściach, nikt nie wychodził o tej porze.

Nie to jednak zwróciło jej uwagę, ale fakt, że ta osoba zatrzymała się przed jej domem i tkwiła tam nieruchoma niczym posąg. Mężczyzna miał na sobie ciemne spodnie oraz czarną kurtkę i chociaż nie widziała dobrze jego twarzy, wydała jej się ona nienaturalnie blada.

Ciarki przeszły jej po plecach, choć nie była pewna dlaczego. Racjonalna część jej umysłu podpowiadała, że to zwykły przechodzień, może sąsiad, i tyle.

Znowu usłyszała sygnał telefonu, tym razem zduszony, i sięgnęła pod poduszkę, żeby przeczytać najnowszego SMS-a od Amy:
SZPIEDZY NIE MOGĄ BYĆ WYBREDNI, KOHANA

Kiedy ponownie zerknęła przez okno, mężczyzny już nie było na ulicy i Rachel odetchnęła z ulgą.

Wokal Taylor ucichł i telefon też się uspokoił, więc postanowiła wrócić do pracy. Ale znowu dobiegł do niej jakiś odgłos. Tym razem nie pochodził z żadnego z urzędzeń, ale z dołu.

Był wyraźny, celowy, jak odgłosy kroków.

Ale to niemożliwe. Rachel była w domu sama. Właśnie miała się zacząć kolejna piosenka, jednak Rachel ją wyciszyła. Siedziała całkowicie nieruchoma, jak szczeniak, który spodziewa się, że pojawi się ktoś nieznamy. Czekwała, nadstawiając uszu, a cisza przedłużała się nieznośnie.

A potem dotarł do niej nagły dźwięk. Drgnęła i omal nie spadła z krzesła. To Amy przysłała jej nowego SMS-a, tym razem tylko gif z brodatym Chrisem Evansem, który zaczynał radośnie chichotać. Rachel też by się pewnie zaśmiała, gdyby nie ten niepokój, który sprawiał, że włoski zjeżyły jej się na

karku. Im dłużej w tych warunkach odtwarzała gif, tę bezustanną pętlę cichego śmiechu, tym bardziej się bała.

Już chciała odpisać, kiedy znowu usłyszała hałasy. Tym razem były głośniejsze i nabrała pewności, że są to kroki. Ktoś wszedł na skrzypiący kawałek drewnianej podłogi między kanapą a stolikiem.

Rachel wzięła głęboki oddech.

— To ty, mammo?

Jej matka umówiła się z koleżankami na wypad poza miasto, ale wyjechała zaledwie godzinę wcześniej i mogła jeszcze zawrócić. Czyżby czegoś zapomniała?

Rachel uczepliła się tej myśli, chociaż serce biło jej coraz mocniej. Wiedziała przecież, że gdyby to była jej mama, to usłyszałaby wcześniej samochód na podjeździe, odgłos kluczyków rzuconych na stolik przy drzwiach, głośne stukanie butów w przedpokoju jak zwykle przy tego rodzaju okazjach.

Odłożyła komórkę, podeszła do drzwi i powoli je uchyliła.

— Mammo?! — zawołała raz jeszcze.

Nikt nie odpowiedział. Rachel wyszła z pokoju i zakradła się do schodów. Stąpała cichutko w samych skarpetach po dywanie i tak dotarła do salonu.

Wyczuła w nim czyjąś obecność. I nie była to jej mama.

Naprzeciwko stał ubrany na czarno mężczyzna, którego wcześniej widziała przez okno. Miał nawet rękawiczki. Patrząc na niego teraz, zrozumiała, dlaczego wydał jej się taki blady. To, co wzięła za jego twarz, było tak naprawdę białą maską.

A potem zauważyła drugiego mężczyznę stojącego przed telewizorem, ubranego jak ten pierwszy. Spojrzeli na nią obaj. Maski mieli pobrużdżone i gumowe.

Mózg zachowuje się dziwnie, kiedy nagle postawi się go w obliczu czegoś, czego nie potrafi zinterpretować. Nagle przemknęło jej przez myśl, by zaproponować mężczyznom szklankę wody, jak zwykle w przypadku gości. A potem, równie błyskawicznie, zrozumiała, co się dzieje.

Ci faceci nie byli gośćmi.

Natychmiast zapragnęła wezwać pomocy, ale słowa w jej gardle zamarły jak ona sama. Miała wrażenie, że pogrąży się w ruchomych piaskach i że jakkolwiek ruch może to tylko przyspieszyć.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, wydarzyły się dwie rzeczy.

Jeden z mężczyzn wybiegł z salonu, jakby go z niego wywiała jakaś potężna wichura. Drugi też się ruszył, ale nie w stronę drzwi. Zbliżał się do Rachel, a ona zdołała w końcu przemoc swój paraliż i zaczęła biec. Pomyślała o tym, żeby dopaść drzwi od podwórka: wyobrażała sobie, jak je otwiera i pędzi w chłodnym powietrzu ku wolności. Po chwili już nie musiała sobie tego wyobrażać, bo wpadła do kuchni i sięgnęła do gałki przy drzwiach na podwórze.

Ale wtedy coś stanęło jej na przeszkodzie. Mężczyzna zacisnął dłoń na jej ramieniu.



KIEDY OTWORZYŁAM DRZWI, zobaczyłam po drugiej stronie Saundrę, jej lśniący uśmiech i błyszczący strój.

— Ubijeraj się, Rachel, jedziemy na imprezę.

Znałam ją dopiero od trzech tygodni, a tu, proszę, pojawiła się niezapowiedziana, jakbyśmy się kumpłowały od lat.

— Przepraszam, nie mogę. — Miałam na sobie dres i planowałam zrelaksować się przy filmie, który zawsze mnie odpręża — *Noc żywych trupów*. Poza tym nie znoszę imprez. — Mama nie lubi, kiedy wychodzę w dni szkolne.

Moja matka pojawiła się za mną niczym zjawa w lustrze łazienkowym.

— W niedzielę chyba nie musisz pracować, prawda, Jamonado?

Moja babcia nazwała mnie Jamoną. Chciałam się pozbyć tego przydomku, ale bez powodzenia, poza tym mama bardzo

lubiała go używać. To hiszpańskie słowo oznaczało szynkę. Nie był to nawet żaden idiom, kryjący informację o urodzie czy zdrowiu, tylko określenie na zwykłą szynkę. A teraz usłyszała to Saundra, więc z moich starań nici.

— Dzień dobry, pani Chavez! — rzuciła Saundra.

— Jutro mam lekcje, więc muszę... — wymamrotałam.

— Ale dzisiaj jesteś wolna. Znajdziesz jeszcze czas.

Saundra pokiwała gorliwie głową, a ja popatrzyłam na matkę, zupełnie jej nie poznając. Początkowo naprawdę nie byłam w stanie pojąć, o co jej chodzi. A potem nagle to do mnie dotarło — moja mama przestraszyła się, że zostanie żalosną samotnicą bez przyjaciół.

— Mamo, chcesz chyba, żebym wypoczęła przed szkołą, prawda? — rzuciłam przez zaciśnięte zęby z nadzieją, że w końcu zrozumie, o co mi chodzi.

Mama uśmiechnęła się jednak niefrasobliwie.

— Miałś na to cały weekend, kochanie.

Znalazłyśmy się w impasie. Ja chciałam spędzić wieczór z żywymi trupami, a mama wołała, żebym spędziła go z żywymi ludźmi. Przyszedł czas, by wytoczyć ciężkie działa.

— Saundro, powiedz, gdzie jest ta impreza? — To było ryzykowne posunięcie. Przypuszczałam, że Saundra chce jechać do Gracie Mansion, na spotkanie z burmistrzem i innymi ludźmi z jego kręgu, co odpowiadałoby mojej matce. Ale nie można było wykluczyć, że wymyśliła coś znacznie gorszego.

Saundra zawahała się, ale ja naciskałam.

— No dalej, powiedz.

— W opuszczonym domu w Williamsburgu — przyznała w końcu.

Obróciłam się triumfalnie do matki, jakbym nagle rozbiła bank.

— Słyszałaś, mamó? W opuszczonym domu w Williamsburgu!

To była nasza próba sił. Patrzyliśmy sobie w oczy, czekając, która się podda pierwsza.

— Baw się dobrze — rzuciła.

Mama pokrzyżowała mi plany. Od kiedy przeprowadziłyśmy się do centrum Nowego Jorku, wymagała ode mnie tylko dwóch rzeczy: żebym dobrze się uczyła (1) i nawiązywała znajomości (2). Fakt, że Sandra pojawiła się tutaj z własnej woli, powinien stanowić dostateczny dowód na to, że mam przyjaciół. Właściwie jedną przyjaciółkę. Jej obecność świadczyła jednak o tym, że udało mi się zawrzeć znajomość w nowej szkole, co wydawało się zadaniem ponad moje siły. Ale dla mamy impreza oznaczała, że może poznam kogoś jeszcze, i z tego powodu gotowa była zesłać mnie do Williamsburga.

Przebrałam się (mimo protestów Saundry odmówiłam zdjęcia koszulowej góry od pizamy, włożyłam tylko szerokie spodnie Dickies nad kostkę i kurtkę) i ruszyliśmy w drogę.

— Może się przejdziemy — zaproponowałam. Byliśmy na Greenpoincie, całkiem niedaleko, no i pogoda zachęcała do spaceru.

— Co? Chcesz, żeby nas ktoś zamordował? — burknęła Sandra.

— Tutaj jest całkiem bezpiecznie.

Sandra potraktowała mnie i Brooklyn śmiechem, a następnie wyjęła telefon.

— Tak, tak...

Taksówka firmy Lyft pojawiła się po niecałych trzech minutach.

Usiadłyśmy z tyłu. Saudra jednocześnie robiła selfie, umieszczała je w mediach społecznościowych i informowała mnie, kto będzie na imprezie. Tak też to wyglądało w czasie naszych lunchów, kiedy dodatkowo opowiadała mi ploteczki o ludziach, których niemal nie rozpoznawałam na szkolnych korytarzach.

Saundra zdecydowała, że zostanie moją przyjaciółką, gdy tylko pojawiłam się na zajęciach z historii pana Inzlo w Manchester Prep. Kiedy usiadłam w ławce, Saudra pochyliła się i spytała, czy mogę jej pożyczyć ołówek, co było całkowitą ściemną, bo widziałam, jak chowała własny w kieszeni swego lawendowego plecaka.

Na początku dziwiło mnie, że chciała mnie bliżej poznać, ale szybko zrozumiałam, że zaczęła ze mną rozmawiać, bo nie mogła znieść faktu, że jest w klasie ktoś, o kim nic nie wie. Zaraz też okazało się, że paląca potrzeba, by wiedzieć wszystko o wszystkich, jest podstawową cechą Saundry Clairmont.

Już wtedy zdradziłam jej parę faktów. Wcześniej chodziłam do prywatnej szkoły na Long Island. Mieszkałam tam z mamą, zanim zdecydowałyśmy się przenieść do centrum. W odróżnieniu od większości uczniów nie byłam bogata, nie korzystałam też ze spadku czy stypendium. Dostałam się do tej szkoły, bo moja mama uczyła historii Stanów i potrafiła wepchnąć mnie tam, gdzie nie chciałam trafić.

Teraz jednak, kiedy zbliżyłyśmy się do Williamsburga, poczułam, że nie tyle nie chcę iść na tę imprezę, co się jej boję. Gardło ścisnęło mi się na myśl o spotkaniu całej masy osób,

które wcale nie będą chciały ze mną rozmawiać. Najgorsza była świadomość, że będę musiała udawać. Udawać, że należę do ich świata i jestem taka jak oni. Już chciałam powiedzieć Saundrze, że kiepsko się czuję, ale taksówka właśnie się zatrzymała. Sandra szybko z niej wyskoczyła, a ja wygrzebałam się za nią.

Ruszyliśmy w stronę opuszczonego domu, który wydawał się żywcem wyjęty z horroru z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Wszystkie okna zabito starymi deskami, na których ktoś wymalował graffiti, a na drzwiach umieszczono jakieś znaki i napisy, zapewne zabraniające wstępu. Dom znajdował się między zamkniętym magazynem a pustą działką z napisem NA SPRZEDAŻ na okalającej ją siatce.

Dostrzegłam jednak także coś optymistycznego. Na tarasie siedziała jakaś dziewczyna i czytała książkę. Jej palce zasłaniały tytuł, ale udało mi się dostrzec zapisane gotycką czcionką nazwisko Stephena Kinga. Lubiłam filmy na podstawie książek Kinga i pomyślałam, że a nuż uda mi się z nią porozmawiać. Może jednak ta impreza będzie w moim typie.

— Cześć, Felicity — rzuciła Sandra.

Felicity oderwała się od książki, popatrzyła na nią spod swojej prostej grzywki i nie odpowiedziała.

— No dobra, to nara. — Sandra wzięła mnie pod rękę i pociągnęła na schody. — Tylko Felicity Chu zabiera książki na imprezy.

W środku było kilkadziesiąt osób, które z drinkami w dłoniach śmiały się i rozmawiały. Wewnątrz budynek nie prezentował się dużo lepiej niż na zewnątrz. Tapeta wyglądała na zapleśniałą tam, gdzie się jeszcze nie oderwała, na podłodze leżało lepiałe się linoleum, a jedynym źródłem światła były

lampy budowlane. W powietrzu niemal czuć było azbest, jednak najwyraźniej nikt się tym nie przejmował.

Nie pamiętałam już, jak wyobrażałam sobie imprezy nadzianych dzieciaków, ale z pewnością nie tak jak tę tutaj. Na gorzką ironię zakrawał fakt, że wszyscy mieli do dyspozycji wygodne pałace i dlatego lubili się bawić w domu do rozbiórki.

— Wezmę drinka! — wrzasnęła Sandra, starając się przekrzyczeć muzykę.

— Pójdę z tobą — rzuciłam.

Ale kiedy się odwróciłam, już jej nie było, zniknęła gdzieś w tłumie. Fatalnie, kiedy idzie się na imprezę, na której nie chce się być, ale jeszcze gorzej, kiedy jest się na niej samemu. Nie chciałam być samotną boją w morzu dobrych znajomych, zostało mi więc tylko jedno wyjście. Musiałam się schować w toalecie.

Będąc na schodach, poczułam się tak, jakbym przeszła przez jakąś bramę. Ucichł brzęk szkła i kiepski pop przytłumiony zwilgotniałą ciemnością, która z każdym krokiem stawała się coraz gęstsza. Zwykle mój niepokój przycichał, w miarę jak oddalałam się od tłumu i znajdowałam niszę ciszy. To było jak oddychanie do torebki, żeby się uspokoić. Tym razem jednak nie podziałało.

Przystanęłam na szczycie schodów, czekając, aż moje oczy przyzwyczają się do mroku. Przed sobą dostrzegłam jakieś kształty. Włączyłam telefon i przy jego mdłym świetle dostrzegłam kwiecistą tapetę. Jednak kiedy ruszyłam korytarzem, płatki kwiatów wydały mi się odrażające niczym pomarszczone twarze czarownic.

Wstrzymałam oddech na widok lekko uchylonych drzwi. Przestrzeń za nimi była na tyle ciemna, że nie widziałam, co

znajduje się w środku, a światło komórki niewiele mi tu pomagało. Ktoś mógł mnie stamtąd obserwować, a ja nie miałam o tym zielonego pojęcia.

To miejsce coraz bardziej mnie przerażało.

Powinnam była zawrócić, ale na dole bawili się ludzie, trwała impreza. Chciałam być lekkomyślna, normalna i nie za ostrożna. Nie chciałam bać się byle cienia. Odsunęłam więc od siebie strachy i weszłam do środka.

To była jednak tylko łazienka. Zupełnie pusta. Nie działały światła ani kran, ale było tu cicho. Uruchomiłam Instagram. Zwykle nie wynikało z tego nic dobrego, ale nie mogłam się powstrzymać. Wiedziałam, że się pogrążam, ale postanowiłam wypić tę truciznę do dna.

Kliknęłam na zdjęcie, na którym pozował wraz z kumplami w strojach piłkarskich. Patrzyłam na pasma jego ciemnych włosów, na jego półprzymknięte z ukontentowania bursztynowe oczy. I dołeczki. Ten jego uśmiech z dołeczkami potrafił chwycić za gardło. Pod spodem były setki komentarzy od jego przyjaciół. Przeczytałam je wszystkie, i to po wielokroć. Gdybym zaczęła to robić teraz, potrzebowałabym paru godzin.

Nagle usłyszałam głos. Początkowo niewyraźny, ale z nutą pretensji.

Wyglądało na to, że nie jestem tu jednak sama. Cichutko wyszłam z toalety i podążyłam za głosem, który zaprowadził mnie do sąsiedniego pokoju. I wtedy dotarło do mnie, że tym zdecydowanym tonem rozmawiają dwie osoby. Jakaś sprzeczka?

Drzwi otworzyły się gwałtownie, ale zdążyłam jeszcze uskoczyć przed Bramem Wildingiem, który wypadł przez nie, nawet mnie nie zauważając. Ale kiedy się odwróciłam,

wpadłam na Lux McCray. Tak naprawdę nie byliśmy znajomymi, ale oni oboje zaliczali się do szkolnej śmietanki najpopularniejszych par, których wcale nie trzeba znać, żeby wiedzieć o nich wszystko.

Lux i Bram stanowili królewską parę Manchester Prep.

Komórka wysliznęła mi się z ręki i upadła na dywan w korytarzu. Oświetliła Lux jasnym światłem, wydobywając ostre rysy jej twarzy, tak że wyglądała jak bohaterka z okładki książki V.C. Andrews. Jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia, ale zaraz się zwęziły.

— Co do cholery? — rzuciła. — Śledzisz nas?

— Nie.

— Nie wiem, co ci się wydaje, że słyszałaś...

— Nic nie słyszałam.

Zmierzyła mnie złym wzrokiem od sportowych butów Zappos aż po włosy w nieładzie, a potem zaczęła się przyglądać mojej twarzy. Może zastanawiała się, dlaczego mam tyle piegów i czy nie mogę znaleźć jakiegoś tutorialu, jak się pozbyć choć części z nich.

A ja patrzyłam na nią. Moje naturalne piegi rzeczywiście wyglądały jak brud w zestawieniu z jej sztucznymi. Wiedziałam, że nie są naturalne, bo były zbyt małe i krągłe i w dodatku rozmieszczone w regularnych odstępach. Trzeba je było namalować ostrożnie ołówkiem do rzęs. Te piegi schodziły z nasady jej nosa i rozprzestrzeniały się na kości policzkowe, tworząc piękną konstelację.

Poczułam też jej perfumy. Miss Dior. Perfumy przyszłych skompromitowanych żon polityków. Jej skóra lśniła delikatnie pod ramiączkami topu firmy Brandy Melville, a włosy miała

w kolorze jasnego złota. Blondynki o tym typie urody zwykle ginęły już na początku horrorów.

Nagle Lux zauważyła leżącą na podłodze komórkę. Podniosła ją i spoglądała na ekran wystarczająco długo, by dostrzec nie tylko post, ale też zdjęcie z Instantgrama.

— Lepiej patrz, dokąd idziesz, zamiast sprawdzać wszystko na temat Matthew Marshalla.

Poczułam w piersi ciężar niepokoju, który mógł się rozlać po całym moim ciele. Stało się to szybko, jak zwykle ze strachu. W jednej chwili wszystko było w porządku, a zaraz potem dopadły mnie niepewność i zdenerwowanie, rozchodząc się nieprzyjemnym mrowieniem aż po opuszki palców. Lux nie powinna wiedzieć o Matthew. Nikt nie powinien. Rzuciłam się po komórkę, a Lux zrobiła przestraszona, niechętną minę, jakby telefon był jej. Udało mi się jednak go jej wyrwać.

— Dziwadło — syknęła, przechodząc tuż obok, a następnie zniknęła w czeluściach korytarza.

Natychmiast przypomniało mi to, kim jestem. Nie normalnym człowiekiem, ale dziwadłem. To było jasne dla wszystkich, nawet dla Lux. Cóż, dla mnie ta impreza właśnie się skończyła.

Ruszyłam na dół, aby powiedzieć Saundrze, że powinnyśmy już wracać, ale niepokojąca ciemność i to dziwne spotkanie z Lux sunęły za mną niczym obrus, o który przypadkowo zahaczyłam i niechcący ściągnęłam ze stołu.

Nikt nie powinien wiedzieć o Matthew, a ja nie powinienam była przychodzić na to przyjęcie. Doskonale to wiedziałam.

W mojej głowie kłębiły się niespokojne myśli i miałam wrażenie, że idę po schodach jednocześnie za wolno i za szybko.

Przepychałam się przez tłum, kierując się wprost do drzwi, jakbym miała klapki na oczach.

Po chwili już byłam na zewnątrz i zachłysnęłam się świeżym wieczornym powietrzem. Chciałam uporządkować myśli i zatrzeć wspomnienie tego, co się przed chwilą zdarzyło. Powinnam więc zrobić coś głupiego. Nieostrożnego.

Popatrzyłam na faceta, który jako jedyny znajdował się na zewnątrz. Podeszłam i poklepałam go po ramieniu. W takich sytuacjach zdarzało mi się zachowywać jak postać z filmów o opętaniu — stracić panowanie nad sobą i pozwolić, by coś przejęło nade mną kontrolę. Nawet nie zdążył się odwrócić, kiedy złapałam go za koszulę i przyciągnęłam do siebie.

Nie znoszę, kiedy zachowuję się w ten sposób. Jest to zdecydowanie lekkomyślne i złe.

Ale podziałało. Gdy tylko nasze usta się zetknęły, odpłynął ode mnie Matthew Marshall, odpłynęła Lux i wszystko, co zdarzyło się w tym dusznym domu. W tej chwili tylko o to mi chodziło. Mogłam uznać, że to taka imprezowa błazenada. Mogłam też udawać, że jestem pijana czy zepsuta, do diabła z moralnością. Wiedziałam, że normalne nastolatki potrafią się tak zachowywać na zwykłych przyjęciach.

Po chwili w ogóle przestałam myśleć i równocześnie odezwały się moje zmysły. Słyszałam jego oddech — gwałtowny, kiedy wciągnął powietrze przez nos, i delikatny, gdy westchnął. Poczulałam też drzewny zapach jego szamponu. Sosnowo-limonkowy. A potem nawet to przestało do mnie docierać i zostały mi tylko dwie rzeczy: dotyk jego warg i ich smak.

Kiedy oderwaliśmy się od siebie, z trudem łapiąc oddech, w końcu mogłam zobaczyć, z kim się całowałam.

Na jego widok mój uspokojony, czysty umysł mógł zareagować tylko pełnym rezygnacji westchnieniem: O kurwa!

— Rachel? — zawołała Saundra, schodząc po schodach.

Trudno powiedzieć, czy Bram Wilding był przerażony czy zniesmaczony tym, co zrobiłam, ale przynajmniej zachował kamienną twarz i uprzejmie milczał. Tak więc Bram, chłopak Lux, którego napadłam dlatego, że — jak słusznie zauważyła Lux — jestem dziwadłem, potrafił być uprzejmy. Teraz obrócił się na pięcie i odszedł, zanim Saundra zdołała go rozpoznać.

— Kto to był? — spytała, gdy stanęła obok.

— Nikt.

Uniosła lekko brew.

— Rozmawiałaś z nim prawda?

— To nikt ważny. Tylko duch.

— Zabawne, że to mówisz — rzuciła Saundra, przebiegając palcami. — Zaraz zaczyna się seans spirytystyczny.